

V
A
M
P
S

Tytuł oryginału: VAMPS: FRESH BLOOD

First published in Great Britain by Simon & Schuster UK Ltd, 2022

Copyright © Nicole Arend 2022

Published by arrangement with Simon & Schuster UK Ltd

1st Floor, 222 Gray's Inn Road, WC1X 8HB

A CBS Company

Projekt okładki: Pip Watkins / S&S Art Dept.

Zdjęcie wykorzystane na okładce: © Roberto Moiola/Sysaworld/Moment/Getty Images

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska

Korekta: Renata Kuk, Marta Stochmiałek, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-207-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Abedik

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

NICOLE AREND

V
A
M
P
S

ŚWIEŻA KREW

Przełożył Michał Zacharzewski



Robowi

Rozdział 1

Nowa krew

W dolinie położonej wysoko w Alpach Szwajcarskich umościła się mała wioska Arnes. Majestatyczne, pokryte śniegiem szczyty górowały nad skupiskiem drewnianych budynków i przysłaniały niskie zimowe słońce, dlatego było tam zbyt zimno i ciemno, by marzyć o stworzeniu popularnego ośrodka narciarskiego.

Pierwszego listopada o siedemnastej trzydzieści zapadł już zmrok, a jedynym światłem był miękki blask ulicznych latarni i świątecznych girland zdobiących wąską ulicę. Dawny sklep wiejski był zamknięty, a bielony kościół – zimny i pusty. Spłowieiałe zielone okiennice okolicznych chat szczelnie zatrzęsnięto. Ozdobione bożonarodzeniowymi wieńcami drzwi były pozamykane na klucz.

Wokół nie było żywej duszy. Gruba warstwa śniegu przykryła wioskę pograżoną w dziwnej ciszy. Ucichł nawet delikatny szum wodospadu położonego po wschodniej stronie góry, jakby był chwilowo zamrożony w czasie.

Nagle spokój został zmaćony przez gardłowy ryk silnika. Chwilę później jaskrawoczerwone lamborghini urus przemknęło po oblodzonym bruku i zatrzymało się na środku miejskiego placu. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i z samochodu wysiadła smukła dziewczyna. Jasne niczym lód włosy opadały na jej plecy nieskazitelną, lśniąca taflą. Nośiła obcisłe i z pewnością drogie białe dżinsy, grubą kamizelkę obszytą sztucznym futrem i pasujące do niej botki.

Świdrującymi oczami w kolorze lodowatego błękitu spojrzała w głąb głównej ulicy.

– To naprawdę tutaj? – zapytała.

Wysoki, przystojny mężczyzna, który wydawał się zbyt młody na jej ojca, pojawił się z drugiej strony auta.

– A czego się spodziewałaś, Celeste? – warknął. – Ostrzegłem cię!

– Myślałam o czymś uroklivym, ale wyrafinowanym. Jak choćby Gstaad.

– Gstaad jest zbyt zatłoczone – odpowiedział jej ojciec. – Biorąc pod uwagę nasze wyjątkowe wymagania, to miejsce jest idealne.

Dillon Halloran znajdował się już stosunkowo niedaleko. Kiedy nabrał nieprzyjemnego przekonania, że prawie dotarli do celu, poczuł na czole kropelki potu. Podróżował w górę wąskiej doliny wraz z ojcem, Gabrielem, w saniach ciągniętych przez osiem psów rasy husky. Sześć kilometrów wcześniej jedno ze zwierząt uszkodziło uprząż, co – pomimo wysiłków Dillona – nie zniweczyło ich podróży, powodując jedynie półgodzinne opóźnienie.

Teraz, u granic Arnes, zanim jeszcze oświetlił ich blask ulicznych latarni, psy zaczęły zwalniać. Nagle stanęły, a powożone przez Gabriela sanie zatrzymały się gwałtownie. Stado wpatrywało się z niepokojem w pobliską wioskę, a potem wydało z siebie przeciągły chóralny skowyt. Dillon pochylił się w stronę ojca i wskazał zaniepokojone zwierzęta.

– To dziwne, tato. Jakby przeczuwały, że coś jest nie tak.

Gabriel znalazł te psy i wiedział, że warto ufać ich instynktowi. Zresztą coś ewidentnie wisiało w powietrzu. Dillon widział, jak ojciec stara się oprzeć pokusie zawrócenia psów, aby wrócić na dół tak szybko, jak to tylko możliwe.

Para z nozdrzy węszących zwierząt kłębiła się wokół. Chłopak odwrócił się do ojca.

– Nie chcę iść. Proszę, nie zmuszaj mnie – powiedział.

Mężczyzna westchnął.

– Dillon, już to przerabialiśmy. Obiecałem twojej matce, że kiedy skończysz osiemnaście lat...

– Dlaczego tak desperacko pragniesz dotrzymać obietnicy złożonej kobiecie, która nawet nie zadała sobie trudu, żeby czasami nas odwiedzić?

– Mówiłem ci: to skomplikowane. Odeszła, aby cię chronić, a ja muszę dotrzymać danego jej słowa.

Dillon się skrzywił.

– Chronić mnie? Ale przed czym?

– Właśnie dlatego musisz wyjechać. Żeby poznać prawdę o sobie i o świecie, z którego pochodzi twoja matka.

Chłopak potrząsnął głową ze złością.

– Nie interesowała się moim światem. Dlaczego więc ja miałbym się interesować jej?

– Nie zmienisz swojego pochodzenia. Zresztą nie traćmy czasu na czcze rozmowy. I tak jesteś już spóźniony.

– Daj spokój, tato, to wszystko jest bez sensu. Nie możemy po prostu zawrócić do domu?

Gabriel nie odpowiedział, tylko mocno przytulił syna.

– Przez całe życie dbałem o twoje bezpieczeństwo, ale dłużej nie mogę już tego robić. I myślę, że w głębi duszy sam to czujesz – stwierdził i ponownie spojrzął na zegarek. – Musisz tam pójść. Musisz dowiedzieć się prawdy o sobie. Ale pamiętaj, Dillon... – Wskazał na swoją klatkę piersiową, a następnie poklepał miejsce, gdzie znajduje się serce. – To... To właśnie czyni nas tym, kim jesteśmy.

Przyciągnął syna do siebie i założył mu na szyję stary łańcuszek. Dziwny, ognisty kamień tkwiący pośrodku trójkątnego wisiora zabył w świetle księżyca.

– Noś to z dumą, synku. Sporo dla mnie znaczy. Należał do twojej mamy i ona chciała, żebym kiedyś ci go przekazał. Miej go zawsze przy sobie i bez względu na to, co się stanie, nigdy... – przerwał i chrząknął – nigdy się nie poddawaj.

Dillon, z trudem powstrzymując emocje, wsunął łańcuszek pod sweter i od razu poczuł, jak cięży mu na piersi, tuż nad sercem. Po raz ostatni uściskał ojca i odsunął się od niego. Gdy wkładał rakiety śnieżne, które Gabriel zrobił dla niego jeszcze w Irlandii, do oczu napłynęły mu łzy. Zamrugał wściekle i zaczął brnąć przez śnieg. Bał się, że nie wytrzyma i obejrzy się za siebie. Po chwili usłyszał, jak ojciec gwizdże na psy. Ich gwałtowne ujadanie oznaczało, że sanie zawróciły i ruszyły w drogę powrotną.

Dillon był tak głęboko pogrążony w myślach, że nie usłyszał zbliżających się w jego stronę skuterów śnieżnych. Przeklął głośno i odskoczył, kiedy jeden z kierowców krzyknął coś do niego, gwałtownie skrzył i śmignął tuż obok.

Słyszac warkot pojazdów zbliżających się od południa, Celeste i jej ojciec odwrócili się w tamtą stronę. Po kilku minutach pojawił się pierwszy skuter. Wystrzelił spomiędzy alpejskich drzew i zatoczył koło, rozrzucając za sobą śnieg i lód. Siedzący na nim oszałamiająco przystojny chłopak wyłączył silnik i z gracją atlety zeskoczył z siodelka. Strząsnął śnieg z ciemnych włosów, a jego brązowe oczy wciąż mieniły się radością czerpaną z jazdy. W końcu zobaczył Celeste i chwilę się jej przypatrywał, po czym z najwyższym trudem oderwał od niej wzrok, by – przypomniawszy sobie o dobrych manierach – podać rękę jej ojcu i przedstawić się.

– Hej, jestem Ace. Miło mi pana poznać.

Ojciec Celeste zmierzył go chłodnym spojrzeniem, po czym odpowiedział:

– Nazywam się Eric Torstensson, a to moja córka, Celeste.

Wyciągniętą rękę zignorował.

Oczy Ace'a wpiły się w idealną twarz dziewczyny.

– Miło cię poznać – ciągnął z luźnym amerykańskim akcentem.

Celeste, wyraźnie przyzwyczajona do tego, że wszyscy padają jej do stóp, uśmiechnęła się do niego.

– Miałeś niezłe wejście.

Ace poprawił ręką długą grzywkę zwichrzoną w artystycznym nieładzie.

– No cóż, to dość odległe miejsce. Moi starzy zostali na Florydzie, aby załatwić kilka nagłych spraw, więc pomyślałem, że równie dobrze mogę rozerwać się podczas podróży.

Dwaj miejscowi, siedzący na drugim skuterze, pospiesznie zdjęli z przyczepionych z tyłu sań kufer i skórzaną torbę. Nie pożegnali się, po prostu uruchomili silniki i odjechali w pośpiechu, podskakując na kolejnych muldach.

– Nie mam pojęcia, dlaczego nie chcieli się z nami zabawić – zaśmiał się Ace.

Celeste zachichotała, odsłaniając idealnie białe i lekko spiczaste zęby, po czym podeszła do lamborghini. Zaraz obok pojawiły się dwa mercedesy G z przyciemnionymi szybami i aston martin DBX. Na maskach samochodów trzepotały rumuńskie flagi. Szofer pospiesznie otworzył tylne drzwi pierwszego auta, podczas gdy z drugiego wyskoczyli ochroniarze. W końcu drobnokościsty chłopak o kruczoczarnych włosach ubrany w ciemny wełniany płaszcz wysunął długie nogi z tylnego siedzenia.

– Bram Danesti – oznajmił po angielsku, z lekkim akcentem.

Spoglądał na Celeste i jej ojca z pogardą. W przeciwieństwie do Ace'a nie zdradzał ani krzty zainteresowania urodą dziewczyny.

– Ach, Bram! Musisz być synem Alexandru! Czy ojciec z tobą przyjechał? – zapytał Eric Torstensson. – Muszę z nim pilnie porozmawiać – dodał i podszedł do intrygującego, groźnie wyglądającego mężczyzny, który wyłonił się zza mercedesa.

Bram spojrział na Celeste.

– Zapewne wiesz, że mój ojciec przez trzy lata z rzędu był wybierany w tej akademii na przewodniczącego roku. Spodziewam się, że pójdę w jego ślady.

Dziewczyna nawet nie mrugnęła.

– Mnie również miło cię poznać.

Bram lekko się skrzywił.

– Przekonasz się, że będę silną rywalką – kontynuowała z lodowatym spokojem.

Bram się uśmiechnął.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Ace podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

– Cześć, jestem Ace Ellison.

Bram oderwał wzrok od Celeste, lecz zignorował powitalny gest.

– Aaa, dziedzic soku pomarańczowego.

Na doskonale wyrzeźbionej twarzy Ace'a nie było widać choćby odrobiny irytacji wywołanej kpiącym tonem chłopaka.

– To prawda, mój ojciec zbudował swoje biznesowe imperium na soku pomarańczowym. Jego zdaniem jednak nawet w naszym świecie nadmiar przywilejów zabija ambicje. To jeden z powodów, dla których przyjechałem tutaj – oznajmił, omiatając wzrokiem mercedesy i stojących obok ochroniarzy.

Bram zacisnął zęby. Miał zamiar odpowiedzieć, ale Celeste go uprzedziła.

– Ten to wygląda interesująco! – rzuciła.

W ich stronę zmierzał wyjątkowo wysoki, dobrze umięśniony chłopak. Miał na sobie zwykły T-shirt i dżinsy, więc wydawał się odporny na zimno. Przewiesił torbę przez ramię, napinając bicepsy. Dredy miał precyzyjnie skręcone i spięte z tyłu w bujny kucyk, a na jego szyi błyszczał niewielki wisior ze starożytną złotą monetą. Przez sekundę Celeste, Ace i Bram wpatrywali się w przybysza.

Ten zbliżył się niewzruszony.

– Cześć, jestem Jeremiał – przedstawił się.

Miał głęboki, melodyjny głos z delikatnym karaibskim zaśpiewem.

Celeste pierwsza odzyskała mowę, przerzuciła włosy przez ramię i uśmiechnęła się do niego.

– Ja nazywam się Celeste – przedstawiła się.

Chłopak uśmiechnął się do niej.

– Celeste? Całkiem ładne imię.

– Dziękuję. – Wskazała ojca, który rozmawiał z ojcem Brama. – Tak nazywała się matka mojego taty. Przyjechałeś z daleka?

– Mam chatę w Montego Bay, więc musiałem tylko przeskoczyć Atlantyck.

Głośny łomot czarnego helikoptera wypełnił dolinę hukami. Śmigłowiec pojawił się nad górkami szczytami i po chwili zaczął opadać w stronę wioski. Celeste skrzywiła się i zakryła uszy nausznikami wyszczykanymi futrem. Potężne reflektory zaalały światłem odkryte lodowisko, a gdy maszyna zbliżyła się do ziemi, kręcące się łopaty wirnika wywołały sporą zamieć. Spośród wirujących w jasnym świetle drobinek śniegu wyłonili się chłopak i dziewczyna. Pochylili się nisko, omijając śmigło, i z kocią gracją ruszyli przez zaśnieżony teren w kierunku pozostałych.

Z bliska chłopak wyglądał na twardziela. Miał krótko przycięte jasne włosy i imponujące tatuaże.

– Jestem Aron – huknął, próbując przekrzyczeć ryk silnika. – A to moja bliźniaczka, Ásta. Przylecieliśmy z Islandii i cieszymy się, że możemy was poznać.

Ásta nie wyglądała na zadowoloną. Była wyraźnie poirytowana i tylko potrzęsła głową. Pomiedzy jej ostrymi kośćmi policzkowymi i pod ściętymi na boba jasnymi włosami tkwiły bystre zielone oczy, które błyskawicznie dostrzegły i oceniły oszałamiającą urodę Celeste.

Dillon wciąż przedzierał się przez śnieg. Gdy odskoczył na bok, by nie wpaść pod rozpędzone skutery, pękł jeden z pasków jego lewej rakiety śnieżnej. Przywiązał go z powrotem, najlepiej jak umiał, ale przez to posuwał się do przodu o wiele wolniej. Zirykował go widok lśniącego, czarnego helikoptera lądującego pośrodku wioski. Wyciągając stopę ze śniegu, poczuł, jak pot spływa mu po czole.

W końcu dotarł do głównej drogi prowadzącej do wioski. Wreszcie mógł ściągnąć rakiety śnieżne. Ferrari FF pokonało ostatni górski zakręt i wyjąc, niemal przefrunęło obok niego.

– Na Boga! – mruknął. – Kim, do diabła, są ci ludzie?

Ferrari zatrzymało się obok pozostałych samochodów, a z obłądnie niskiego siedzenia podniósł się przystojny chłopak. Miał drobną budowę ciała, typową dla kierowcy wyścigowego, i wyglądał czarująco z psotnymi oczami, falującymi włosami i brylantowym kolczykiem w uchu. Z przerzuconą przez ramię skórzaną kurtką ruszył w stronę zebranych i niemal udusił ich zapachem swoich perfum. Uśmiechając się szelmowsko do Ásty i Celeste, przedstawił się jako Angelo da Silva, syn światowej sławy gracza polo, niejakiego Seve'a da Silvy.

Kiedy spojrzał na Ástę, aż zaiskrzyło.

– Miło mi cię poznać, Angelo – powiedziała z uśmiechem, spoglądając na niego spod mocno wytuszowanych rzęs.

Zwinna i niezwykle piękna nigeryjska dziewczyna, która pojawiła się w tym samym czasie co helikopter, stała nieco z boku grupy podniekscytowanych nastolatków. Jej rodzice, światowej sławy naukowcy, rozmawiali z pozostałymi dorosłymi, a ona zwiesiła głowę i wpatrywała się w swoje stopy, kreśląc czubkiem buta wzory na śniegu.

Ace miał zamiar ją zawołać, ale rozproszył go widok chłopaka ubranego w podniszczony wełniany sweter. Nieznajomy szedł główną ulicą z plecakiem, do którego przypiął rakiety śnieżne.

– O Jezu, to ten dekiel, którego prawie rozjechałem w dolinie! – zawołał. – Co on tu robi?

Gdy Dillon zbliżył się do grupy, jego serce wyraźnie przyspieszyło. Nigdy wcześniej nie widział tak wielu świetnie wyglądających i pewnych siebie ludzi. Co jego ojciec sobie myślał?

Ledwie zdusił w sobie chęć ucieczki. Nie wiedząc, z kim należy rozmawiać, zwrócił się zarówno do nastolatków, jak i towarzyszących im rodziców:

– Przepraszam za spóźnienie, miałem trochę problemów po drodze – stwierdził, a wszyscy skierowali na niego wzrok. – Jestem Dillon Halloran – dodał lekko podenerwowany.

Chłopak, którego widział w nowiutkim ferrari, zbliżył się do niego i zmrużył oczy. Wyglądał, jakby chciał go zaatakować i pożreć żywcem.

– Co on tu robi? – syknął ktoś.

– Podobno to tu mamy się spotkać – odpowiedział Dillon.

Nie ruszył się z miejsca. Czuł, jak serce głośno łomocze mu w piersi.

– Zostaw go, Angelo! – warknęła stojąca tuż obok dziewczyna, wyglądająca na twardą zawodniczkę.

Próbowała go odciągnąć, lecz bezskutecznie.

Również jeden z wysokich, przystojnych chłopaków stojących w głównej grupie postanowił zabrać głos.

– Rakiety śnieżne? Myślałem, że wyginęły w osiemnastym wieku! – zażartował.

Dillon niezręcznie przesunął stopy, ale podniósł brodę i spojrzał mu prosto w oczy.

– Mój ojciec zrobił je dla mnie. Własnoręcznie. I to dzięki nim tutaj dotarłem, wiesz?

– Sorki... Powiedziałaś Dillon? Jestem Ace. Twój ojciec wykazał się zdrowym rozsądkiem. Ja niestety musiałem się męczyć z tym lipnym skuterem śnieżnym – odparł.

Miał przy tym tak nijaki wyraz twarzy, że Dillon nie zdołał ocenić, czy koleś z niego drwi, czy mówi serio.

– Cóż, skutery śnieżne zawsze były dla mnie wyzwaniem. – Wzruszył ramionami. Ponieważ większość zebranych wciąż się na niego gapiała, a on nie znał zasad obowiązujących w tej grupie, podszedł do stojącej z boku pięknej dziewczyny, wyglądającej nieco przyjaźniej niż inni. – Cześć, jestem Dillon – rzucił.

Kiedy spojrzała na niego swoimi ogromnymi brązowymi oczami, upodobniła się do jelenia szykującego się do ucieczki w bezpieczny las.

– Wiem, już to mówiłeś – odpowiedziała.

– Jezuniu, przepraszam – mruknął, czując się jak kompletny idiota. Najwyraźniej nie była tak sympatyczna, jak mu się wydawało.

Po chwili jednak ulitowała się nad nim.

– Jestem Sade. Miałeś całkiem niezłe wejście.

– Miło cię poznać, Sade. Nie wiesz, dlaczego wszyscy tak się na mnie gapią? Albo jaki problem ma ten gość? – Wskazał głową Angela, który na szczęście chyba już o nim zapomniał i teraz pokazywał komuś swoje ferrari.

– Naprawdę nie wiesz? – zapytała Sade.

– Nie mam pojęcia. Nie chodzi o moje ciuchy, prawda?

– Cóż, nie chcę być nieuprzejma – odpowiedziała, bawiąc się złotą bransoletką. – Ale wyglądasz, jakby to ująć, inaczej. Zwróć uwagę, że żadne z nas, o jaśniejszej czy ciemniejszej karnacji, nigdy nie zmienia swojego koloru.

– Co masz na myśli? Moją skórę?

– Wybacz, ale wyglądasz na zgrzanego i spoconego. Masz zarumienione policzki.

Poczuł, że nieświadomie odrzuca do tyłu ciemne, niesforne loki. Rozejrzał się dookoła. Sade miała rację. Pomimo panującego w górach zimna wszyscy wyglądali idealnie. Ani jedna osoba nie miała zaczerwienionego nosa, a ich perfekcyjnie gładka skóra wyglądała na pozbawioną porów. Jakby wyrzeźbiono ich z marmuru!

– I wszyscy to słyszeliśmy – dodała, wskazując na jego serce.

– Cóż, będziecie musieli wybaczyć mi, że oddycham! – jęknął.

– Cicho! – Rozejrzała się nerwowo.

– Znasz tych ludzi?

– Właściwie to nie. Wydaje mi się, że ta wysoka blondynka ma na imię Celeste. Ace'a poznałeś. Sądzę, że zaklepał już sobie posadę dowcipnisia w naszej grupie. Ásta i Aron to bliźnięta z Islandii. To ona odciągnęła

od ciebie Angela, czyli gościa, który przyjechał ferrari. Z kolei ponury, ciemny typ to Bram, a ten ogromny i zniewalający – Jeremiah.

– No cóż, chyba w waszym towarzystwie będę odgrywał rolę... maskotki – żartował, za co został nagrodzony uśmiechem, który rozświetlił twarz Sade.

Rozległ się miękki świst i oboje spojrzeli w górę. Sokół wędrowny i kruk przeleciały nad ich głowami i wylądowały z gracją pośrodku miejskiego placu. Natychmiast zamieniły się w niezwykle piękną kobietę i surowo wyglądającego mężczyznę ze starannie wypielęgnowaną czarną brodą.

Zapadła cisza. Dillon z otwartymi ustami wpatrywał się w kobietę. Domyślił się, że to dyrektorka szkoły. Dyrektorka, która potrafiła przemienić się w ptaka. Potrząsnął głową z niedowierzaniem, ale kiedy omiotła go spojrzeniem przenikliwych szmaragdowozielonych oczu, poczuł do niej szacunek zmieszany z przerażeniem.

Choć w towarzystwie otaczających ją nastolatków wydawała się drobna, emanowała siłą i opanowaniem. Peleryna z kapturem z cienkiej wełny tylko częściowo zakrywała jej nieskazitelną, wręcz porcelanową twarz i gęste kasztanowe włosy opadające lokami do pasa. Aksamienna suknia w kolorze głębokiej czerwieni, najwyraźniej dopasowana do odcienia ust, mocno podkreślała jej kobiece kształty, podobnie jak wąski, delikatny złoty łańcuch spięty wokół talii.

– Witam was w Arnes i gratuluję – powiedziała niskim, melodyjnym głosem. – Nazywam się madame Dupledge i jestem dyrektorką najstarszej i najbardziej elitarnej akademii wampirów na świecie: Vampire Academiae ad Meritum, Peritia et Scientia. Powszechnie znana jako VAMPS, oznacza perfekcję, wiedzę i umiejętności. Dołączacie do elitarnego grona, które tutaj osiągnęło naprawdę wiele. Mam nadzieję, że dobrze wykorzystacie pobyt w naszej placówce i z czasem zdołacie dorosnąć do swojego potencjału.

Podczas przemowy dyrektorki Dillon ukradkiem rozejrzał się dookoła. Ace, Bram i Celeste wyglądali na skupionych. Ásta przewróciła oczami, a Angelo się do niej uśmiechnął.

– To jest pan Hunt. – Madame Dupledge wskazała dłonią mężczyznę obok siebie.

Brodacz odziany w elegancką czarną kurtkę narciarską uklonił się, ale nie uśmiechnął.

– Jest moim zastępcą i pokieruje wami na kolejnym etapie podróży. Lokalizację VAMPS utrzymujemy w ścisłej tajemnicy. Staramy się zminimalizować podróżę do akademii i z niej. W związku z tym spędzicie z nami najciemniejsze miesiące aż do zakończenia roku szkolnego, które będzie miało miejsce trzydziestego pierwszego marca.

Dillon spojrział na swoje buty, żeby ukryć niepokój, ale i falę tęsknoty za domem. Czyżby musiał przetrwać pięć miesięcy z bandą wrogo nastawionych wampirów?

– Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, to już wystarczająco zaniepokoiiliśmy mieszkańców tej wioski. Pożegnajcie się z rodzicami i przygotujcie do jak najszybszego wylotu. Niektórzy uczniowie przybyli już wcześniej i nie mogą się doczekać spotkania z wami.

Gdy wszyscy zbierali swoje bagaże i ściskali się z bliskimi, Dillon zauważył, że ojciec Brama odciągnął madame Dupledge na bok i intensywnie coś jej tłumaczył. Kobieta z gracją mu odmówiła i odeszła, żeby porozmawiać z innym rodzicem. Twarz pana Danestiego pociemniała z wściekłości i podbiegł do syna. Obaj posłali Dillonowi wrogie spojrzenie. Chłopak pospiesznie odwrócił wzrok, ale był pewien, że chcieli dać mu w ten sposób coś do zrozumienia. Zapewne ponury i wyniosły Bram oraz jego ojciec nie byli zadowoleni z jego obecności w VAMPS.

Aby o tym nie myśleć, zaczął przyglądać się pozostałym uczniom żegnającym się z rodzicami. Zapomniał już o emocjonalnym spięciu z tatą. Bliscy Sade woleli rozdawać jej polecenia niż uściski, więc dziewczyna zwiesiła kształtną głowę niczym delikatna orchidea.

Gdy supersamochody i luksusowe SUV-y zaczęły odjeżdżać, pan Hunt wydał kolejne instrukcje:

– Posłuchajcie. Chcę, abyście podzielili się na dwie grupy: lotników i nielotów.

Dillon nie był pewien, o co mu chodzi.

– Lotników? Co facet ma na myśli? – szepnęła do Sade, która okazała się na tyle miła, że wróciła i zajęła miejsce obok niego.

– Jeśli nie wiesz, to jesteś nielotem. Zaufaj mi, sama nim jestem.

Dillon obserwował, jak Ace i Aron przybijali piątki i ryknęli głośno, po czym ogłosili się grupą lotników. Bram, Celeste, Ásta i Jeremiaś, szczerząc się, dołączyli do nich.

– Oczekuję doskonałego zachowania podczas lotu – ostrzegł pan Hunt, świdrując ich ostrym, ptasim wzrokiem. – Reszta z was poleci z madame Dupledge. Zostawcie tu bagaże, zabiorą je szkolni tragarze.

– Słabo – mruknął Angelo. – Dałbym radę, gdybym coś przekąsił – dodał, kierując szydercze spojrzenie w stronę Dillona.

Ásta parsknęła, żeby ukryć uśmiech, a pan Hunt skrzywił się z dezaprobatą.

– Wszyscy z mojej grupy przygotować się.

Ace, Aron i Jeremiaś znów się zaśmiali.

– Założymy się o to, kto pierwszy będzie na miejscu? – rzucił Ace.

Celeste i Ásta westchnęły.

– Gotowi? – Pan Hunt pochylił się do przodu niczym ptak mający wzbic się do lotu. – Ruszamy na trzy...

Nastolatkwie przestali się wygłupiać. Stanęli obok siebie nieruchomo, z czujnością.

– Raz... dwa... trzy! – ryknął pan Hunt i nagle wszyscy zniknęli.

Dillon zadrżał.

– Zaraz... Co się z nimi stało?

Sade posłała mu zaciekawione spojrzenie.

– Chyba niewiele o nas wiesz, prawda? – zauważyła bez złośliwości.

– Niewiele – przyznał. – Prawie nic. Moja mama odeszła, kiedy się urodziłem, więc wychowywał mnie ojciec. Chronił mnie przed waszym światem. Szczerze mówiąc, kręci mi się od tego wszystkiego w głowie. Dopiero tydzień temu dowiedziałem się, że tu przyjadę.

– Mój ród należy do elity. Przez całe życie starałam się sprostać oczekiwaniom rodziców, a nawet rodzeństwa – westchnęła. – Masz szczęście, że ci tego oszczędzono.

– Nie nazwałbym tego szczęściem – odpowiedział szczerze Dillon. – Ale nie rozumiem jeszcze waszego świata.

– Podejdźcie do mnie. Bliżej! – przerwała mu madame Dupledge.

Stała na środku rynku i przywoływała nielotów do siebie.

Dillon zbliżył się do niej nie bez obaw, a Sade i Angelo poszli w jego ślady. Z bliska dyrektorka wydała mu się jeszcze bardziej namacalna, wyraźnie czuł jej słodki, obezwładniający zapach. Nieco otępiały, odkrył, że pragnie spełnić każde jej polecenie.

– Uwaga! – powiedziała. – Chwyćcie się mojej peleryny i nie puszczajcie jej bez względu na okoliczności.

Wciąż obawiając się Angela, Dillon zajął miejsce po drugiej stronie Sade. Gdy wyciągnął rękę i dotknął szaty madame Dupledge, poczuł wstrząs elektryczny przeszywający całe jego ciało. Każda jego komórka mrowiła i pulsowała, jakby zanurzył się w lodowatej wodzie.

– Bardzo dobrze. – Dyrektorka uśmiechnęła się z aprobatą, po czym spojrzała na nich. – Miłej podróży...

Z cichym drżeniem, przypominającym trzepot skrzydeł nietoperza, rozplynęli się w powietrzu. Poza porzuconymi stertami bagaży na placu nie było już po nich śladu. W wiosce znów panowała cisza. Tylko jedna zielona okiennica uchyliła się na chwilę i młody chłopiec wyjrzał na zewnątrz. Kiedy jego matka krzyknęła, okiennica momentalnie się zatrzasnęła.